

AUTORKA BESTSELLERA WSPÓŁLOKATORZY

BETH O'LEARY

*Pomysłowa,
ciepła,
romantyczna.*

SOPHIE KINSELLA

*Zaskakuje
i daje mnóstwo
fajdy.*

EMILY HENRY



TRZY KOBIETY, TRZY RANDKI.
I JEDEN MĘŻCZYŹNA, KTÓREGO NIE MA...

POSZUKIWANY UKOCHANY

ALBATROS



Tytuł oryginału:
THE NO-SHOW

Copyright © 2022 Beth O'Leary Ltd
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki oryginalnej: © studiohelen.co.uk

Projekt graficzny okładki polskiej: Agnieszka Drabek

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Siobhan

Nie ma go.

Siobhan oddycha wolno przez nos. Chce się uspokoić, ale bardziej przypomina to „wściekłego byka” niż „zen”.

Żeby tu przyjść, odwołała śniadanie z przyjaciółką. Zakręciła włosy, umalowała usta i ogoliła nogi (nie tylko do kolan; na całej długości, na wypadek gdyby miał ochotę przejechać pod stołem ręką po jej udzie).

A jego, cholera, nie ma.

– Nie jestem zła – mówi do Fiony. Rozmawiają przez kamerkę. Zawsze tak robią. Siobhan święcie wierzy w moc kontaktu wzrokowego, a poza tym chciałaby, żeby ktoś widział, jak wspaniale dziś wygląda, nawet jeśli to tylko współlokatorka. – Jestem zadowolona. To facet, więc jasne, że mnie wystawił. Czego ja się spodziewałam?

– Masz makijaż do łóżka – zauważa Fiona, mrużąc oczy. – A to nawet jeszcze nie dziewiąta rano, Shiv.

Siobhan wzrusza ramionami. Siedzi w jednej z tych ekstrawaganckich kawiarni – ekstrawagancja irytuje ją we wszystkim i u wszystkich – a na stoliku przed nią stoi do połowy wypita podwójna latte z mlekiem owsianym. Gdyby wiedziała, że zostanie wystawiona w walentynki, zamówiłaby normalne mleko – weganką jest tylko wtedy, gdy ma dobry nastrój.

- Bo ze sobą śpimy – odpowiada.
- Nawet na randce śniadaniowej?

Nigdy wcześniej nie byli na randce śniadaniowej. Ale kiedy mu powiedziała, że przylatuje na krótko do Londynu, zapytał, czy w takim razie nie zjadłaby z nim śniadania... Zaproszenie na randkę śniadaniową to coś stanowczo znaczącego – zwłaszcza w walentynki! Zazwyczaj ich randki odbywają się w jej pokoju hotelowym, zwykle po dwudziestej trzeciej; widują się w każdy pierwszy piątek miesiąca i czasami w jakiś dzień bonusowy, jeśli akurat jest w Londynie.

I tak jest dobrze. To dużo. Siobhan nie chce więcej – on mieszka w Anglii, ona w Irlandii; oboje są zajętymi ludźmi. Ich układ sprawdza się idealnie.

– Jesteś pewna, że nie chcesz dać mu jeszcze pięciu minut? – pyta Fiona, zasłaniając usta smukłą dłonią, gdy przełyka porcję płatków kukurydzianych. Siedzi przy stole w kuchni, włosy nadal ma splecione w nocny warkocz. – Może po prostu się spóźnia?

Siobhan czuje ukłucie tęsknoty za swoim mieszkaniem, choć opuściła je zaledwie dzień wcześniej. Tęskni za znajomym cytrynowym zapachem kuchni, za spokojem garderoby. Tęskni za wersją siebie, która nie popełniła jeszcze błędu i nie zaczęła liczyć na to, że jej ulubiony chłopak do łóżka może zechcieć być kimś więcej.

Wypija łyk latte – tak nonszalancko, jak tylko potrafi.

– Och, błagam. On nie przyjdzie. – Wzrusza ramionami. – Jestem z tym pogodzona.

– Nie sądzisz, że może skreślasz go, zanim...

– Powiedział „wpół do dziewiątej”. Jest za dziesięć. Oł! mnie. Lepiej, jeśli po prostu... – przełyka kolejny łyk – zaakceptuję to i ogarnę się.

– No dobra – rzuca Fiona i wzdycha. – Pij kawę, pamiętaj, że jesteś fantastyczna, i przygotuj się, że będziesz dziś wymiałała.

Gdy mówi „wymiałała”, słysząc jej amerykański akcent, mimo że już od dawna brzmi zwykle równie po dublińsku jak Siobhan. Kiedy jako osiemnastolatki poznały się w Szkole Teatralnej Gaiety, Fiona miała nowojorski akcent i nowojorską przebojowość, jednak dekada nieudanych przesłuchań wyprała ją z pewności siebie. Ma pecha, zawsze jest dublerką, niemniej Siobhan w pełni wierzy, że ten rok będzie rokiem Fiony – jak wierzy co roku przez ostatnie dziesięć lat.

– A kiedy to nie jestem gotowa do wymiatania? No proszę cię...

Siobhan odrzuca włosy do tyłu, akurat w chwili, gdy za jej plecami przechodzi jakiś mężczyzna; potrąca jej krzesło. Filiżanka chwieje mu się w dłoni, kawa przyska na ramię Siobhan i wtapia się w czerwień jej sukienki, pozostawiając tam małą plamkę – dwie kropelki, jak średnik.

Sytuacja ma wszystkie elementy romantycznego pierwszego spotkania z filmów. Odwróciwszy się, Siobhan przez ułamek sekundy rozważa to – facet jest całkiem atrakcyjny, wysoki, z rodzaju tych, co mają duże psy i tubalny śmiech. A on się odzywa:

– Chryste Panie, jeszcze komuś oko wybijesz tą burzą włosów!

Siobhan uznaje, że nie, jest w zbyt złym nastroju, by znosić arogancję wielkich, imponujących mężczyzn, którzy nie przepraszają od razu za rozlanie kawy na sukienkę. W piersi czuje rosnący żar wściekłości i jest z tego zadowolona, a nawet odczuwa ulgę – to właśnie to, czego potrzebuje.

Wyciąga rękę i dotyka jego ramienia, delikatnie. Facet zwalnia, lekko unosi brwi. Siobhan celowo odczekuje chwilę, zanim się odezwie.

– A nie chciałeś powiedzieć przypadkiem: „Bardzo mi przykro”? – Jej głos jest słodki jak cukierek.

– Uważaj, kolego – ostrzega go Fiona z telefonu, który teraz opiera się o stojącą na środku stolika krzywą terakotową doniczkę.

Facet nie uważa. Siobhan wiedziała, że tak będzie.

– Z jakiego właściwie powodu ma mi być bardzo przykro, Roszpunko? – pyta.

Podąża za jej spojrzeniem, ku plamie kawy na jej ramieniu, i parska aksamitnym pobłażliwym śmiechem. Uduje, że mruży oczy, jakby na sukience nie było nic do zobaczenia. Stara się być zabawną – i gdyby Siobhan była w dobrym, wegańsko-mlecznym nastroju, mogłaby na to pójść, ale na całe nieszczęście dla faceta z kawą właśnie została wystawiona do wiatru, w walentynki.

– Ta sukienka kosztowała prawie dwa tysiące euro – oznajmia. – Wolisz przelać od razu całą kwotę czy zapłacisz w ratach?

Facet odrzuca głowę w tył i śmieje się. Kilka par spogląda w ich stronę.

– Bardzo zabawne – rzuca mężczyzna.

– Ale ja nie żartuję.

Mina mu rzędzie i wtedy się zaczyna. On pierwszy podnosi głos; Siobhan znajduje sukienkę na NET-A-PORTER; facet pęka i nazywa ją pyską paniusią, co jest doskonałe, bo daje jej dodatkową amunicję na pięć minut; Fiona na ekranie telefonu pokłada się ze śmiechu i Siobhan na kilka sekund prawie zapomina, że jest tutaj, w nużącą ekscentrycznej kawiarni, sama, bo jej randka nie wypaliła.

– Jesteś okrutna, Shiv – mówi czule Fiona, gdy Siobhan sadowi się z powrotem na krześle.

Facet wyszedł, wcześniej rzuciwszy na jej stolik dziesiątkę – „na pralnię chemiczną”. Wszyscy się gapią. Siobhan przerzuca przez ramię lśniącego blond loka, pierwotną przyczynę całej awantury, i odwraca się twarzą do okna. Głowa do góry. Cycki do przodu. Noga na nogę.

Tylko Fiona widzi, że Siobhan próbuje się nie rozpłakać.

– I co, czy to pomogło? – pyta.

– Oczywiście. I jestem bogatsza o dziesięć funtów. Co mam zamówić? – Siobhan prychna i przyciąga do siebie menu z drugiego końca stolika. Przy okazji dostrzega godzinę na zegarku: dziewiąta. Dopiero dziewiąta, a ona już ma rekordowo zły dzień. – Może omlet Zawsze Patrz Na Słoneczną Stronę? Albo jarmużowe smoothie Bądź Dobrej Myśli?

Z hukiem kładzie dłoń na menu i z powrotem je odsuwa; para przy sąsiednim stoliku lekko się wzdryga i rzuca jej zatrwożone spojrzenie.

– Kurwa mać, to zdecydowanie najgorsze miejsce na bycie olaną w walentynki – mówi Siobhan.

Rozgrzewający gniew w jej piersi zniknął, teraz jest tylko ten ucisk, samotny ostry ból zbliżających się łez.

– Nie pozwól, żeby cię to zdołowało – odzywa się Fiona. – Jeśli cię wystawił, to znaczy, że jest kutasem.

– Jest – potwierdza zaciekle Siobhan przez zaciśnięte gardło.

Fiona milczy. Siobhan podejrzewa, że przyjaciółka daje jej czas, by się pozbierała, co sprawia, że tym bardziej nie chce dopuścić, by któraś z łez, drżących jej teraz na rzęsach, stoczyła się na policzek.

– Wiem, że to było dla ciebie ważne, Shiv – mówi niepewnie Fiona. – Czy ty w ogóle...? Czy to nie jest twoja pierwsza prawdziwa randka od czasów Cilliana?

Siobhan krzywi się i uznając swoją przegraną, wyciera oczy.

– Co, myślisz, że od trzech lat nie byłam z nikim na randce?

Fiona czeka cierpliwie; obie wiedzą, że nie była. Ale przyjaciółka mogłaby być mądrzejsza i tego nie mówić. W końcu wzdycha i pyta:

– To co, skreślasz go, tak?

– O tak, skreślam. Już po nim – oświadcza Siobhan.

Pożałuje dnia, w którym ją olał. Jeszcze sama nie wie, co zrobi, ale coś wymyśli. I na pewno mu się to nie spodoba.

Miranda

Trzy po dziewiątej i nikogo nie ma.

Miranda gryzie paznokciec kciuka i opiera się o samochód, stukając butem w oponę. Mocniej ściąga kucyk. Sprawdza, czy nie ma rozwiązanych sznurówek. Zagląda do plecaka i upewnia się, że wszystko tam jest: dwie butelki wody, jej zestaw wspinaczkowy, piła ręczna, którą dostała od rodziców na urodziny, z jej imieniem wygrawerowanym na uchwycie. Niczego nie brakuje, żaden z przedmiotów nie wyskoczył magicznie z plecaka w którymś momencie jej dwudziestominutowej jazdy tutaj.

Dziewiąta siedem i wreszcie słysząc zgrzyt opon na żwirze. Miranda odwraca się w stronę podjeżdżającej ciężarówki Jamiego, jasnozielonej, z logo firmy J Doyle. Czuje, że serce wali jej pod żebrami jak dzięcioł, i prostuje się nieco, gdy Jamie i reszta ekipy wysiadają.

Podchodzą do niej i Jamie uśmiecha się szeroko.

– AJ, Spikes, Trey, to Miranda Rosso – przedstawia ją.

Dwóch mężczyzn z tej trójki rzuca w jej stronę spojrzenie, które dobrze zna: niepewne, nerwowe, chłopaków stanowczo poinstruowanych, że mają się zachowywać. Trey jest niski i krępy, z ponurymi, głęboko osadzonymi oczami. Spikes, o głowę od niego wyższy, ma

budowę gracza rugby, o szerokim torsie pod brudnym wyblakłym T-shirtem. Obaj kiwają do niej głowami i natychmiast przenoszą uwagę na drzewo w rogu działki, na której zaparkowali.

I wreszcie jest AJ. Posyła Mirandzie zupełnie inny rodzaj spojrzenia: obcina ją od góry do dołu, z miną faceta, który słysząc: „Zachowuj się jak należy przy tej nowej dziewczynie”, odbiera to jako wyzwanie.

Miranda została ostrzeżona przed AJ-em. Ma ciekawą reputację. Podobno zaliczył więcej kobiet, niż było drzew, na które się wspinał, powiedział jej poprzedni szef, gdy poinformowała go, że odchodzi, by dołączyć do ekipy Jamiego. „Twarz anioła, serce absolutnie bezdusznego drania”.

Tak więc Miranda jest przygotowana na przeszywające zielone oczy, brodatą szczękę, wytatuowane muskularne ramiona. Jest przygotowana na uniesienie brwi, gdy ich oczy się spotykają, na spojrzenie, które mówi: „Takie kobiety jak ty zjadam na śniadanie”.

Nie jest jednak w pełni przygotowana na małego szczeniaka cockapoo, którego AJ trzyma w objęciach.

Jest zaskoczona. A on głaszcze psa z niewzruszoną miną, jakby to było zupełnie normalne, że przywozi się ze sobą do pracy szczeniaka.

– A, tak, to Rip – dodaje Jamie bez większego entuzjazmu. – Nowy pies. Podobno nie może sam zostawać w domu, zgadza się, AJ?

– Ma lęk separacyjny – odpowiada AJ, przesuwając Ripa trochę wyżej po umięśnionej szerokiej klatce piersiowej.

Miranda bardzo się stara nie uśmiechnąć. Jej plan na poradzenie sobie z AJ-em to kompletne ignorowanie go – wie z doświadczenia, że to zwykle najlepsza strategia w przypadku zarozumiałych typków. Ale... cholera, szczeniak jest słodki. Nigdy nie potrafiła im się oprzeć,

zwłaszcza tym wyglądającym trochę jak pluszowe misie, z kręconym futerkiem i zadartym noskiem.

– Cześć, Rip – zwraca się do pieska, podsuwając mu rękę do obwąchania. – Hej, mały koleżko!

Rip merda ogonem, uderzając nim o zebra AJ-a. Miranda usiłuje się nie rozpląnąć.

– Lubi cię – rzuca AJ głosem jak miód, a jego oczy znów prześlizgują się po jej sylwetce.

Mózg Mirandy natychmiast wciska hamulec. Szczeniak może i jest słodki, ale ściąga zbyt wiele uwagi na tors mężczyzny, który go trzyma. Nie na tym polega jej strategia.

– Cześć – mówi, odrywając wzrok od Ripa i kierując uśmiech w stronę Treya i Spikesa. – Miło was poznać.

– Rosso nieźle się wspina – oznajmia Jamie, klepiąc ją po plecach. – Szkoda, że nie oglądaliście jej na zawodach ratownictwa na wysokościach. Nigdy nie widziałem nikogo tak szybko wdrapującego się na drzewo. Masz własny sprzęt?

– Aha. – Miranda wskazuje głową na swój plecak.

– Wysyłam cię na to duże – mówi Jamie. – Właściciel chce mieć koronę zmniejszoną o jedną trzecią. – Kiwa głową w stronę srebrnej brzozy górującej nad frontowym ogrodem okazałego domu, przed którym zaparkowali. Brzoza ma dość cienki pień, chwieje się i faluje na wietrze. – Pokaż tym gościom, jak to się robi, okej?

– Jasne – rzuca Miranda i już przykuca, żeby otworzyć plecak i wyciągnąć uprząż.

*

Trudno znaleźć coś równie podniecającego jak wspinaczka.

Miranda miała piętnaście lat, gdy pewnego razu, wracając ze szkoły, usłyszała w oddali głośnie pokrzykiwania mężczyzn. Idąc w stronę tych dźwięków,

dotarła na teren położonej blisko jej liceum Akademii Gospodarki Gruntami, gdzie odbywało się szkolenie „chirurgów” drzew. Rósł tam rząd sosen, wysokich i pięknych, z których gałęzi zwisały żółte i pomarańczowe liny. Mężczyźni w górze poruszali się po drzewach jak Tarzani, przeskakiwali między rozwidlonymi konarami i odchyleni w uprzężach, chwyтали pnie drzew między kolana. Jeden nawet wisiał na gałęzi do góry nogami.

Miranda nie miała wtedy pojęcia, że można wspinać się na drzewa i zarabiać tym na życie.

Instruktor, widząc, że się im przygląda, powiedział jej o dniu otwartym w następnym tygodniu, kiedy sama będzie mogła spróbować, jeśli zechce. Gdy tylko poczuła, jak uprzęż dźwiga jej ciężar, gdy dotarła do pierwszej gałęzi i spojrzała w dół na poruszającą się pod nią ziemię, wpadła po uszy.

Od tamtej pory minęło dziesięć lat, a ona nie tylko wspina się na drzewa, utrzymując się z tego, lecz także robi to naprawdę dobrze. I mimo że jej rodzice nadal nie potrafią do końca pojąć, dlaczego ich najstarsza córka upiera się przy zawodzie tak niebezpiecznym, że już pierwszego dnia doradzono jej, by wykupiła sobie polisę na życie, to – choć niechętnie – w końcu się do niego przekonali, głównie dlatego, że tylko ślepy nie zauważyłby, z jaką pasją Miranda się tym zajmuje.

Kiedy jest już na brzozie, z główną liną zakotwiczoną na największym konarze, wystarczająco mocnym, by utrzymał jej ciężar, Miranda zapomina o Treyu, Spikesie i AJ-u. Zapomina nawet o Carterze, o ich randce w porze lunchu, o sukience starannie złożonej na dnie plecaka. Wiszenie trzynaście metrów nad ziemią jest absolutnie przerażającym doznaniem, bez względu na to, jak człowiek jest doświadczony, i kiedy się to robi, nie ma miejsca na nic innego. Jesteś tylko ty i liny, wiatr i drzewo oddychające wokół ciebie, chroniące cię przed upadkiem.

AJ, z Ripem, który w podeksycytowaniu kręci mu się między nogami, przycina żywopłot na froncie nieruchomości. Na początku Jamie zostaje, by mieć oko na Mirandę, ale po półgodzinie odchodzi, by pomóc AJ-owi. Dwaj pozostali zajmują się pracami na ziemi: zbierają cięższe rzeczy, przepuszczają gałęzie przez rębak. Ranek mija im w ryku pił łańcuchowych i migotaniu trocin.

W końcu Miranda spływa po głównej linii, pozwalając sobie na twarde lądowanie – jej pięty mocno wbijają się w ziemię pod drzewem. Lina opada gładko, nawet się o nic nie zaczepia. To był dobry poranek. Miranda czuje, że włosy wymknęły jej się z kucyka, a kiedy zdejmuje kask, niektóre pasma ma przyklejone do czoła.

– Nieźle – chwali ją AJ, gdy go mija.

– Dzięki – odpowiada Miranda, po czym zwraca się z uśmiechem do Jamiego: – No to jak, szefie?

– Och, tak, pamiętam! – Jamie prostuje się, trzymając naręcze gałęzi leszczyny; oczy mu się świecą. Dobiega pięćdziesiątki i nie wspina się już na drzewa najszybciej ze wszystkich, nie ryzykuje jak kiedyś. Wciąż jest jednak pełen werwy i zadziorności. Każdy naprawdę dobry chirurg drzew to w przeważającej mierze amator mocnych wrażeń... lub raczej zbyt mocnych... a także ktoś, kto jest bardzo szczęśliwy. – Musisz zniknąć o wpół do pierwszej, tak? Bo masz randkę?

Miranda strzepuje trociny ze spodni do wycinki, które nosi na szelkach – zostały zaprojektowane z myślą o mężczyznach i są dla niej zawsze za luźne w talii. Znajomy z kursu ratownictwa specjalistycznego poradził jej kiedyś, by zawsze zakładała szelki, bo inaczej może kiedyś znaleźć się w upokarzającej sytuacji, ze spodniami wokół kostek.

– Tak! Randkę lunchową – potwierdza, odpinając piłę i odkładając ją na pakę ciężarówky Jamiego. – No wiesz, są walentynki.

– Wiem, żona mi rano przypomniała. – Jamie się

krzywi.

– Randka lunchowa? – powtarza za jej plecami AJ.

Miranda się nie odwraca.

– Mój chłopak chciał się ze mną spotkać zaraz po tym, jak skończy pierwsze zlecenie u Jamiego.

– Albo na wieczór ma inną kobietę w kolejce – komentuje AJ.

Miranda nie jest porywcza. Uważa, że każdy, kto zachowuje się jak kutas, ma ku temu jakieś powody, więc nie należy od razu wybuchać. Wie jednak również, że tolerancja może wyglądać jak słabość, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Przetyka ślinę.

– A ty jakie masz plany na wieczór, AJ? – pyta i zerkając za siebie, dostrzega jego uśmieszek. – Randka z gorącą laską?

– To zależy – odpowiada.

– Od czego?

Miranda rozpuszcza kucyk i przeczesuje palcami włosy. Są grube i ciemne, kręcone przy twarzy, z lokami u dołu, i prawie zawsze splątane.

– Od tego, czy Jamie pozwoli mi zaprosić cię dziś wieczorem na drinka.

– AJ! – warczy ostrzegawczo Jamie. – O czym rozmawialiśmy w drodze?

Oczy Mirandy i AJ-a na sekundę się spotykają. AJ drażni się z nią lub może ją testuje. Ale w jego wzroku widać autentyczny żar i Miranda uzmysławia sobie z zaskoczeniem, że zrobiłby to – zabralby ją na drinka, a potem odprowadził do domu. Ten bajecznie przystojny niebezpieczny mężczyzna.

Całkiem to pochlebne, zważywszy na jego reputację. Nawet jeśli się wie, że AJ pieprzy wszystko, co się rusza.

– Ale o co chodzi? Przecież wieczorem jest wolna – obrusza się AJ, krzyżując na piersi wytatuowane ramiona.

Jego bicepsy są ogromne i Miranda jest przekonana,

że skrzyżował ramiona tylko po to, żeby zwrócić na nie uwagę.

Unosi lekko podbródek.

– Nie jestem zainteresowana – rzuca z uśmiechem. – Ale dzięki – dodaje i odwraca się do Jamiego. – Jutro siódma rano, tak? Wyślesz mi adres?

– Nie jestem zainteresowana! – Jamie rechocze. – Kiedy ostatnio słyszałeś coś takiego od dziewczyny, AJ, co?

AJ wzrusza ramionami i schyla się, żeby podnieść Ripę, ale Miranda, odchodząc, czuje na sobie jego spojrzenie.

– Poczekajmy trochę – słyszy za sobą. – W końcu zawsze dają się złamać.

Parska śmiechem.

– Nie ta – rzuca wesoło przez ramię. – Jestem zajęta.

– Przez pana Lunchowa Randka! – woła za nią AJ. – Ale mi szczęściara!

Jane

Kluczem są przystawki. Kiedy Jane bierze do ust miniaturową tartę z kozim serem lub maleńką sajgonkę, ma co najmniej trzy sekundy przeżuwania – czas na to, żeby wymyślać odpowiedzi na nieuniknione okropne pytania, które muszą paść, gdy jest się na przyjęciu zaręczynowym, a twój chłopak cię wystawił.

– Nadal sama, skarbie? – pyta ją Keira.

Trzyma po kieliszku szampana w każdej ręce, a mimo to udaje jej się wypiąć piersi; jej naszyjniki znikają na moment w głębokim rowku, wynurzającym się z dekoltu sukni.

Keira dwa dni w tygodniu pomaga w sklepie charytatywnym hrabiego Langleya. Jest jedną z osób najbardziej dążących do tego, by Jane związała się z Ronniem Langleyem, synem hrabiego i sprawcą całego zamieszania.

Kiedy Jane zaczęła pracować w sklepie, Ronnie zapalał do niej ciepłymi uczuciami. Każdy pracownik fundacji darzy ogromną sympatią Ronniego, który ma jedną z tych tragicznie uformowanych twarzy, z miejsca wzbudzających litość, i w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż pozostaje singlem, mimo że jest pierwszy w kolejce do dziedziczenia rozpadającej się posiadłości, uważanej

przez wszystkich poza Jane za szczyt marzeń.

Misją sklepu stało się doprowadzenie do tego, by Jane i Ronnie zostali parą. I właśnie z tego powodu dopuściła się małego kłamstwa. Powiedziała, że ma chłopaka. Z upływem czasu to kłamstwo rosło i rosło, jednak nigdy wcześniej nie było wystawiane na taką próbę jak teraz.

– Jestem pewna, że już jedzie, po prostu zatrzymali go w pracy – odpowiada niepewnie, zerkając na zegarek.

Jest dopiero kwadrans po szóstej – jeszcze godzina „popijania drinków i pogawędek”, zanim siądą do kolacji.

Keira przygląda się; sztuczne rzęsy trzepoczą, gdy lustruje strój Jane: taki sam, jaki miała na sobie w pracy. Jane płoną policzki. Myślała, że uda jej się opędzić tę imprezę bladozieloną bawełnianą sukienką, jeśli tylko zdejmie wełniany sweter i rajstopy, ale teraz widzi, że sukienka nie jest wystarczająco elegancka. Tłum za Keirą się powiększa – gości jest tak wielu, że wydaje się mało prawdopodobne, by Constance i Martin znali wszystkich z imienia. Impreza odbywa się w ratuszu w Winchesterze, a jej motywem przewodnim są – czego można się było spodziewać – walentynki. Na sali króluje wręcz groteskowa ilość różu.

– Słuchaj, skarbie – rzuca Keira i jej zmarszczki się pogłębiają, gdy ściąga twarz. – Wszyscy wiemy, że z tym twoim chłopakiem to bujda na resorach. Lepiej się po prostu przyznaj, skoro...

– Jane, kochanie, czy mógłbym cię porwać?! – woła Mortimer.

Jane odwraca się do niego szybko, z wyrazem żarliwej wdzięczności w oczach. Na twarzy Keiry pojawia się grymas niezadowolenia, gdy Mortimer odciąga Jane od tłumu, w stronę rogu pokoju.

Mortimer Daperty ma siedemdziesiąt lat; do pracy przychodzi codziennie w brązowym garniturze, na lunch je niezmiennie kanapkę z tuńczykiem, a gdy o osiemnastej

wychodzi do domu, zawsze mówi: „No to pa, Jane. Do zobaczenia wkrótce!”. Gdy w sklepie nie ma nikogo innego, on i Jane współistnieją w ciepłej, pachnącej kulkami na mole ciszy, prasują podarowane ubrania i wymieniają się używanymi książkami, nie mówiąc do siebie ani słowa.

– Wyglądasz na bardzo nieszczęśliwą – zauważa Mortimer życzliwie.

– Bo... nie najlepiej znoszę takie tłumy – odpowiada Jane, starając się wyrównać oddech.

– A ten młody człowiek, o którym mówiłaś, że przyjdzie...?

Jane ma wprawę w unikaniu osobistych pytań kolegów ze sklepu charytatywnego, ale Mortimer takich zazwyczaj nie zadaje, więc teraz ją to zaskakuje i zanim zdąży pomyśleć, łapie się na tym, że odpowiada.

– On mi tylko wyświadcza przysługę. Nie jesteśmy ze sobą, ale zgodził się udawać mojego chłopaka, żebym nie musiała przychodzić tu sama. – Spogląda w dół na swoje buty. Praktyczne, z miękkiej brązowej skóry, takie, w jakich kiedyś nie pokazałaby się nawet martwa. – Keira ma rację: kłamałam, że mam chłopaka.

Mortimer tylko kiwa głową.

– Bardzo rozsądny środek zaradczy – stwierdza. – I ten twój przyjaciel nawet nie zadzwonił, tak?

Jane spodziewała się, że Mortimer będzie ją krytykował, ale wyraz jego twarzy jest życzliwy.

– Nie. Nie zadzwonił – przyznaje, wracając spojrzeniem do butów.

Mortimer cmoka, lecz to nie Josephem Jane jest rozczarowana – jest rozczarowana sobą. Powinna była wiedzieć, że lepiej na nikim nie polegać. Z reguły woli rośliny i koty od ludzi: oba gatunki mają u niej o wiele lepsze notowania.

Odkąd wróciła do Winchesteru, codziennie z samego

rana zachodzi do piekarni Hoxton i kupuje sobie niskotłuszczowy jogurt z owocami i granolą. To wydatek tak naprawdę nie do usprawiedliwienia, ale ten rutynowy zwyczaj działa na nią kojąco, jak wsuwanie stóp każdego dnia w te same wysłużone buty.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła Josepha w piekarni, zaraz po Bożym Narodzeniu, zatrzymała się w drzwiach tak nagle, że prawie potknęła się o własne nogi. Rozpoznała go. Nie wiedziała, skąd go zna, ale czuła, że to ktoś... ważny. Może ktoś z jej poprzedniej pracy? Rzuciła głośno: „Och!” i gapiła się na niego, zanim sobie przypomniała, że gapienie się to najszybszy sposób, by zwrócić na siebie uwagę, i że należy tego za wszelką cenę unikać.

Joseph odwrócił się i spojrzał na nią, ale nie wyglądał, jakby ją rozpoznał. Posłał jej szeroki, promienny uśmiech, może tylko nieco zakłopotany.

– Hej – rzucił.

Przez chwilę stała jak zamurowana, z szeroko otwartymi oczami. A potem...

– Przepraszam, myślałam, że jesteś kimś... kimś innym – wymamrotała i spuściwszy oczy, uciekła na koniec kolejki, poza zasięg jego wzroku.

Ale czuła na sobie jego spojrzenie, ciepłe i zaciekawione, gdy wychodził z croissantem z piekarni. Potem spotykała go tam codziennie rano przez dwa tygodnie, nadal jednak nie mogła go do końca umiejscowić. I nigdy więcej już nie popełniła tego błędu, żeby się na niego gapić.

Tyle że później, gdy już się nieco rozluźniła...

– To trochę dziwne, nie uważasz? – zapytał ją Joseph, który odwrócił się nagle na pięcie, by spojrzeć prosto na nią, gdy czekali w kolejce.

– Co proszę? – wykrztusiła w stronę podłogi, mrugając gwałtownie.

– No cóż, wiem o tobie tyle różnych rzeczy. Na

przykład że w poniedziałki zawsze nosisz żółty sweter, we wtorki bladoniebieską bluzkę, w środy białą zwiewną sukienkę, w czwartki tę wiosenną, zieloną, ze swetrem, a w piątki jasnorożową bluzę. Wiem, że dużo czytasz, bo zawsze masz jakąś książkę. I wiem, że lubisz bułeczki cynamonowe, bo zerkasz na nie tęsknie, zanim weźmiesz jogurt. Widujemy się codziennie. Ale nie rozmawiamy.

Aż jej się dłonie spociły. Nikt inny nie zauważył nigdy tak szybko rotacji jej strojów. I była pewna, że nie zerkna na bułeczki cynamonowe – a przynajmniej nie każdego ranka.

W końcu, nie mogąc się dłużej powstrzymywać, podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

Był niezaprzeczalnie przystojny, chociaż gdyby ją spytać, dlaczego tak uważa, nie bardzo wiedziałaby, co odpowiedzieć. Twarz miał żywą i wyrazistą; brwi trochę zbyt proste i zbyt grube – u kogoś, kto mniej się uśmiecha, wyglądałyby surowo. Jego kremowobiała skóra rumieniła się przy kościach policzkowych od ciepła w piekarni, szczękę pokrywał świeży zarost, ciemniejszy niż orzechowobrazowe włosy. Nie było w jego twarzy nic, co wyjaśniałoby, dlaczego wydał jej się tak ujmująco przystojny, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, od razu przeszedł ją ten niebezpieczny dreszcz, który czuje się w obecności kogoś naprawdę atrakcyjnego.

– Nie sędzę, żeby było to aż takie dziwne – odparła niemal odruchowo. – Rozmawiasz z ludźmi siedzącymi obok ciebie w pociągu?

– Tak – potwierdził bez namysłu.

– Och, to straszne – rzuciła, zanim zdążyła ugryźć się w język, a on parsknął śmiechem.

– Mam na imię Joseph – przedstawił się. – Powiedz mi: skąd bierzesz te wszystkie książki?

I w ten oto sposób skończyli w dwuosobowym klubie czytelnika. Z reguły Jane nie nawiązuje przyjaźni z ludźmi

– lub raczej ludzie nie nawiązują przyjaźni z nią. A jednak jakimś cudem kilka dni później siedzieli razem przy porannej niedzielnej kawie i rozmawiali o *Drzwiach na Zachód* Mohsina Hamida. Joseph powiedział jej, że książki to dla niego kraina szczęścia, a ona się rozpromieniła, bo dla niej były dokładnie tym samym.

Ale przynajmniej zabezpieczyła się przed tym, by nie było mowy o czymś romantycznym między nimi. Kłamstwo „Mam chłopaka” wykorzystała również wobec Josepha – środek zaradczy, jak to ujął Mortimer. I dopiero na początku lutego, kiedy to o niej i Josephie można już było bezsprzecznie powiedzieć, że są przyjaciółmi, Jane wyznała, że nie ma chłopaka.

– Och, to dobra wiadomość – odparł Joseph. – Bo już zaczynałem myśleć, że ten facet to skończony palant.

– Co takiego?! – Jane zawsze starała się przedstawiać swojego fikcyjnego chłopaka w atrakcyjnym świetle.

– No bo nigdy go nie ma! – wyjaśnił Joseph ze śmiechem. – I nie kupił ci nic na urodziny.

To prawda: nie posunęła się do tego, by kupić sobie prawdziwy prezent od fikcyjnego chłopaka.

Spokój, z jakim Joseph przyjął jej wyznanie, sprawił, że się rozluźniła, i w ciągu ostatnich kilku tygodni zbliżyli się do siebie. Zrezygnowała z prób ustalenia, skąd go zna – może na początku to ją do niego przyciągało: to dręczące poczucie, że jest jej dziwnie znajomy, ale teraz mają to już za sobą. Teraz jest po prostu Josephem.

A że czasem ją rozkojarzy słoneczne ciepło jego uśmiechu lub to, jak jego oczy stają się bardziej zielone przy pewnym świetle... cóż, opanowała sztukę ignorowania takich rzeczy.

Joseph wie już teraz o niej więcej niż inni, którzy jeszcze zostali w jej życiu. Oczywiście nie wszystko, ale to i tak szokujące, jak bardzo nie przejmuje się tym, co ona uważa za niemożliwe do polubienia: jej skłonnością

do mówienia bez ogródek tego, co myśli, jej zasadami i rutyną, jej niezdecydowaniem. Tak dobrze mieć znowu kogoś, z kim można porozmawiać. Zaczęła się nawet łapać na tym, że zadaje sobie pytanie: i co w tym złego?

Teraz jednak, kiedy Keira zmierza w jej stronę z Ronniem u boku, myśli: właśnie to. To w tym złego.

– Jane! – woła Keira, ciągnąc Ronniego za rękę. – Właśnie mi powiedział, że też nie ma nikogo na dzisiejszy wieczór.

Ronnie wyraźnie drży przy imponującej Keirze. Jest tak intensywnie świadomy swoich wad, że nawet z odległości kilku kroków Jane czuje, jak to jego skrępowanie bucha mu spod garnituru niczym gorąco z pieca.

– Cz... cz... cześć – wita się. – Miło cię widzieć, Jane.

– Chłopak Jane jest... – Keira urywa i patrzy na nią wyczekująco.

Pod jej zadowolonym spojrzeniem Jane odpuszcza sobie odzywki w rodzaju: „Spóźnia się” czy „Jestem pewna, że lada chwila tu będzie”.

– Nie dał rady przyjechać – mówi tylko.

– Och, biedna! Wieczny pech w miłości! – wykrzykuje Keira.

Jane nie ma pojęcia, skąd wzięła ten pomysł, choć, co irytujące, jest bardzo trafny.

– Czy twoja matka nie męczy cię jeszcze o wnuki? Ja od lat suszę o to głowę swoim dzieciakom, ale wciąż się z tym ociągają – peroruje dalej Keira, popijając drinka.

Jane mocno zaciska zęby.

– Moja matka nie żyje – mówi w końcu.

Keira cofa się o krok; jej usta otwierają się i zamykają. To zawsze najgorsza część takich rozmów: moment ciszy, zanim druga osoba zdecyduje, którą z sentymentalnych formułek wygłosi w odpowiedzi.

– Och, skarbie, nie wiedziałam! Nic nigdy nie mówiłaś! – wydusza z siebie Keira, po czym zniża głos. – To dlatego

opuściłaś Londyn i przyjechałaś tutaj?

Na wzmiankę o Londynie Jane się wzdryga, zupełnie jakby ktoś chwycił ją znienacka za ramię. Keira w przypadku tego pytania nigdy nie odpuszcza; zadaje je co najmniej raz w miesiącu, w takiej czy innej formie, z bezczelnym uporem godnym wytrawnej specjalistki od plotek.

– Nie – zaprzecza Jane, pilnując, by jej głos brzmiał naturalnie. – Nie, matka zmarła dawno temu. Byłam jeszcze mała. Prawie jej nie pamiętam.

– Jakież to tragiczne. – Keira wzdycha.

Ronnie, zakłopotany, przestępuje z nogi na nogę jak dziecko, które musi skorzystać z toalety. Keira poklepuje Jane po gołym ramieniu – jej dłoń jest spocona i pełna dobrych intencji, mimo to Jane najchętniej strząsnęłaby ją z siebie. Kiedy jest smutna, nie chce, by jej dotykano. A ponieważ ostatnio prawie nikt jej nie dotyka, jest to jeszcze gorsze uczucie, niczym wkładanie swetra z gryzącej wełny, kiedy wcześniej nosiło się jedwabie.

– No cóż, skarbie, masz nas, będziemy się tobą opiekowali – deklaruje Keira i posyła jej zalzawione, przesadne mrugnięcie. – A może by tak Ronnie zajął miejsce twojego chłopaka przy kolacji, co ty na to? Kto wie, może to będzie początek nowego rozdziału w twoim życiu!

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).